St. Perzanowska

...JEST JAKAŚ MISTYKA ULIC W MOIM ŻYCIU

Ze STANISŁAWĄ PERZANOWSKĄ rozmawia Krystyna Nastulanka

K. NASTULANKA: Proszę pani, ile lat jest pani na scenie?

ST. PERZANOWSKA: Zasadniczo 51, ale ja uważam, że 56, ponieważ wliczam tu małą poprawkę natury formalnej — b y ł a m na scenie, bo już nie jestem.

N.: Widziałam Panią przecież niedawno w sztuce Szaniawskiego w Teatrze Współczesnym?

P.: Tak, ale „Dwa teatry" nie idą już od roku, a ja nie próbuję też nic nowego.

N.: Jest Pani na emeryturze?

P.: Tak, mam emeryturę jako wykładowczyni Szkoły Teatralnej.

N.: Z teatru nie chce Pani rezygnować?

P.: Ja nie chcę, ale czy teatr nie zechce ze mnie zrezygnować...

N.: Spodziewamy się, że nie...

P.: To miło, ale nie jestem z tego powodu rozżalona.

N.: A szkoły Pani nie żal? Myślę o kontaktach z młodzieżą?

P.: Do pewnego stopnia. Choć może nie podchodzę do tych spraw tak bardzo emocjonalnie. Uczyłam zawodu wedle mojej najlepszej woli i umiejętności. Jednych lubiłam, innych nie. W końcu nie musi się przepadać za wszystkimi swoimi uczniami. Nie należę do osób schlebiających młodzieży. Wychodzę z założenia, że jedyna zamożność starego człowieka to — nie musieć kłamać.

N.: No, chyba, nie jedna, zwłaszcza w Pani przypadku — mało kto może się poszczycić tak ogromnym, pięknym i uznanym dorobkiem artystycznym.

P.: Ocena nie do mnie należy. Jedno, co mogę powiedzieć, to że istotnie wszystkie swe siły oddałam teatrowi. Były długie okresy w mojej pracy, kiedy pracowałam 17 godzin na dobę.

N.: W teatrze Jaracza?

P.: Nie tylko.

N.: Jaracz, jak wynika z monografii Edwarda Krasińskiego, przy wszystkich swoich talentach, był człowiekiem potrzebującym oddanych współpracowników?

P.: Na pewno. I ja byłam siłą witalną tego teatru, a jego głową — administrator Julian Marymont.

N.: Ale Pani debiut odbył się na scenie „Reduty"?

P.: Tak, wyszłam z tego klasztoru, a jednocześnie laboratorium. I wyniosłam stamtąd parę zasad, których do dzisiaj przestrzegam. Ważna dla mnie zawsze była atmosfera teatru. Jestem za teatrem zespołowym, nie gwiazdorskim. I przede wszystkim szanuję znajomość zawodu, czy jak mówią inni — rzemiosło.

N.: A na czym dla Pani polega siła atrakcyjna teatru?

P.: Teatr pociągał mnie zawsze, jako świat marzeń, ożywający obecnością widowni.

N.: Rzadko pokazuje się Pani na małym ekranie.

P.: Tak, bardzo rzadko. Z wielu względów, a m. in. dlatego, że zawsze najgorzej czułam się na premierze, a telewizja to wyłącznie premiera.

N.: Duża to strata dla telewidzów, że artystka tej miary...

P.: Proszę nie mówić — artystka. Zawsze chciałam, żeby o mnie mówiono — to dobra aktorka. A kto był tylko aktorem, a kto artystą, to już los osądzi. Najważniejsze, żeby znać swój fach i nie bujać rutyną.

N.: Co to znaczy fach aktorski?

P.: Proszę Pani, zamiast wyliczać wszystkie umiejętności obowiązujące aktora, powiem Pani tylko, że aktor jak muzyk, musi grać z nut, a nie z rozgrzania własnego ciała. I to jest kryterium, które pozwala odróżniać nam w teatrze aktora od amatora.

N.: Łatwo się Pani uczyła tekstów?

P.: Początkowo miałam wprost wspaniałą pamięć. Po paru dniach prób umiałam na pamięć cały egzemplarz. Ale po latach zaczęło się to zmieniać. Do niedawna miałam normalną, niezłą pamięć.

N.: Wracając jeszcze do aktorstwa — to szkoła zaszczepiła Pani ten kult dla solidności rzemiosła?

P.: Nie, raczej biografia. Komplikacje bytowe w moim rodzinnym domu, wynikające z braku konkretnego zawodu głowy rodziny. A jeśli chodzi o szkołę, to w 1914 roku zdawałam do Szkoły Aplikacyjnej przy teatrach rządowych. Tak pod zaborem rosyjskim nazywała się szkoła aktorska. Zresztą zapisałam się tam samowolnie, odbierając papiery z tzw. pensji. Wobec protestu rodziny wróciłam do szkoły średniej i po dwuletniej przerwie zdałam do Warszawskiej Szkoły Dramatycznej przy konserwatorium muzycznym, pod dyrekcją J. Lorentowicza.

N.: Nie miała Pani wątpliwości co do wyboru drogi życiowej?

P.: Nie, już w siódmym roku życia, wracając z ojcem z jednego z pierwszych widowisk dziecięcych, wiedziałam, że będę w teatrze.

N.: Co to było za przedstawienie?

P.: Szopka dla dzieci w kościele na Miodowej.

N.: Czy to ta sama szopka, która do dzisiaj gromadzi kolejki w okresie świąt Bożego Narodzenia?

P.: Ta sama. Pewnie przebyła remonty po masakrze Starego Miasta, pewnie przybyły nowe figury, ale szopka ta sama. Dzisiaj sprawa wydaje mi się o tyle zabawna, że moja droga teatru zaczęła się we mnie właśnie na Miodowej, a i odwrót także, bo tam — jak Pani wiadomo — mieści się Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna, gdzie przez kilkanaście lat byłam wykładowczynią. Jak Pani widzi, jest jakaś mistyka ulic w moim życiu. Z Miodowej przeszłam na emeryturę. Ale wróćmy jeszcze do problemu mojej edukacji — w 1916 roku był moim wykładowcą Kazimierz Kamiński.

N.: A jaki rodzaj ról najbardziej Pani odpowiadał?

P.: Kto by się wtedy pytał! Grałam, co mi dali. Najmniej mnie interesowały te amantowskie pozycje. Toteż czekałam aż się zestarzeję. Pierwszą dużą charakterystyczną rolę grałam mając lat 26. Z jaką rozkoszą dobierałam sobie pierwszą siwą perukę, po którą odtąd często sięgałam, żeby osiągnąć dla roli 60 i więcej lat.

N.: Oddzielny rozdział Pani działalności — to reżyseria. Jest Pani pierwszą kobietą-reżyserką w Polsce?

P.: No, chyba tak. W tym sensie, że konsekwentnie i przez całe lata uprawiałam ten zawód, bo — gwoli prawdzie muszę dodać — co jakiś czas reżyserowały moje dwie czy trzy znakomite koleżanki-aktorki. Tuwim, najmilszy człowiek na świecie, przysłał mi z imienną dedykacją taką swoją fraszkę:

„Założyła baba pralnię
I poszło jej kapitalnie
Zachęcone tym przykładem
Poooszły baby tamtej śladem."

N.: Fraszka prorocza, biorąc pod uwagę obecne zainteresowanie kobiet tym zawodem. Cytowany już przeze mnie Edward Krasiński, wspomina ankietę „Kuriera Porannego" pt. „Kobieta, która nadchodzi", gdzie wypowiadały się autorytety ówczesnego świata nauki i kultury. Jaracz napisał wówczas o Pani, jako o nowym typie kobiety, towarzyszu, czy towarzyszce pracy.

P.: Tak to zdawałoby się niedawno, a brzmi anachronicznie. We wszystkich dziedzinach życia można już znaleźć kobiety, z reżyserią włącznie.

N.: Niewiele jednak mogłoby się poszczycić tak wspaniałym dorobkiem. Mówiło się „styl Perzanowskiej", „Zapolska reżyserii", krytyka stawiała Panią w rzędzie najwybitniejszych reżyserów XX-lecia międzywojennego. Czy dużo sztuk Pani robiła?

P.: Bardzo dużo. To były inne czasy. Trzeba było zrobić kilkanaście kasowych bulwarówek, żeby dostać jakiegoś Moliera czy Gogola. Taką szansę traktowałam jako rodzaj prezentu od teatru.

N.: Proszę Pani, a ile to już lat jak narodziła się pani Helena Matysiakowa?

P.: Nie do wiary, ale za dwa miesiące będzie czternaście lat.

N.: Czy autorzy Matysiaków zakładali, że będzie to powieść radiowa?

P.: Nie, wyobrażaliśmy to sobie raczej jako cykl audycji. No, ale rzecz się podobała, a rezultaty znamy.

N.: W każdym razie Pani jest osobą obecną w powieści od pierwszego odcinka?

P.: Tak. A w tej chwili mam uczucie, że mój głos jest elementem zastępującym „dekorację" teatralną. Odzywa się Matysiakowa i wiadomo, gdzie jesteśmy.

N.: Czy pierwszy odcinek podobał się Pani?

P.: Bardzo. I pamiętam go do dzisiaj. Zaczęliśmy bodaj w listopadzie. Józef Matysiak przyniósł do domu swą skromną pensję, która musiała wystarczyć na cały miesiąc, a potrzeb było wiele. Trzeba więc było rezygnować po kolei z różnych domowych inwestycji, bo jakby nie liczyć — nie wystarczało. Wzruszyła mnie ta para dobrych ludzi. Potem był — pamiętam — bardzo udany literacko odcinek sylwestrowy z Tadziem Łomnickim jako lektorem. Te pierwsze odcinki mnie przekonały. Wydawało mi się, że przekazujemy ludziom jakąś prostą prawdę, że miłość i zgoda pomagają nawet w biedzie.

N.: Pamiętam, że audycja spotkała się od razu z bardzo żywym przyjęciem.

P.: W tym pierwszym okresie miała ogromną popularność. Nie było przecież jeszcze telewizji, a więc „Matysiakowie" — zwłaszcza tam, gdzie nie było teatru — w małych miasteczkach, wsiach i szpitalach — stali się najpopularniejszym teatrem masowym, teatrem dla wszystkich.

N.: Czy teatrem?

P.: No, w założeniu przynajmniej. Bo pewna część słuchaczy brała postaci powieściowe za autentycznych ludzi. Kiedy zdaliśmy sobie z tego sprawę, powstał problem, czy ujawniać nazwiska wykonawców i autorów. Przez jakiś czas podtrzymywaliśmy tę fikcję, co jednak na dłuższą metę nie dało się utrzymać.

N.: Sądzi Pani, że podarunki, które przysyłali słuchacze dla rodziny Matysiaków były wyrazem naiwnego utożsamiania aktorów z bohaterami powieści?

P.: Na początku — tak. Żywą pamiątką tego pierwszego odcinka jest dla mnie jedyny prezent, jaki zachowałam do dzisiaj — komplet ściereczek z inicjałami H.M., który nadesłała jakaś radiosłuchaczka pełna współczucia dla p. Heleny, której nie wystarczyło pieniędzy na nowe ścierki. Paczka adresowana była na panią Helenę Matysiakową — Polskie Radio, ul. Noakowskiego. Urzędniczki chciały paczkę odesłać nadawczyni, twierdząc, że taka pani w rozgłośni nie pracuje. Potem zaczęły napływać dalsze dary: poduszki na tapczan, bibeloty, rzeźby z chleba i żołędzi, ludziki ze słomy, coraz więcej i więcej. Przeznaczyliśmy na dary specjalny pokój, ale ilość darów tak się powiększała, że wkrótce nie mogliśmy się w nim pomieścić. Przychodziły ogromne paki z serwisami, sztućcami, jakieś maszyny, no i pieniądze. Trzeba było otworzyć konto. I tak zaczęła się fundacja, której rezultatem jest „Dom Matysiaków".

N.: Jest on zasługą autorów i realizatorów audycji.

P.: Moim zdaniem — zasługą wrażliwości i wyobraźni słuchaczy.

N.: A proszę powiedzieć — lubi Pani Matysiaków?

P.: Czasem tak, czasem nie.

N: A Matysiakową?

P.: Trudno mi już w tej chwili powiedzieć. Czuję się związana z tą postacią, nie jestem tak wytwornym artystą, żeby nią pogardzać. Sprawy, o które ona się troszczy, są naszymi wspólnymi ludzkimi sprawami — dzieci, choroby, zakupy. A poprzez te zwykłe codzienne rozmowy przeziera nie tylko życie Powiśla, ale i Warszawy, kraju, a czasem świata. Gram już Matysiakową po raz siedemset tam któryś.

N.: Jak to wygląda w skali teatralnej?

P.: No, Zygmunt Chmielewski, mój mąż, grał w „Małym domku" Rittnera przeszło 500 razy, ale grał tę samą rolę, tę samą sprawę. W naszej audycji radiowej natomiast czas płynie, jak życie. Pani Helena się zmienia i ja się zmieniam. Przecież Matysiakowa z pierwszych odcinków była praczką, dzisiaj jest matką solisty z orkiestry Filharmonii, matką córki-pionierki w Bieszczadach. Najmłodszy syn kształci się i poślubił piękną lekarkę. A wychowanka i siostrzenica Matysiaków wyszła za mąż za chirurga. Mąż, Józef Matysiak, jest radnym i zdał maturę. Taki awans to prawdziwie napoleońska kariera.

N.: W opinii słuchaczy ta rola idealnie przylega do Pani?

P.: Proszę Pani, każdą rolę trzeba zrobić, trafić w postać, a równocześnie być sobą.

N.: W tej roli demonstruje Pani w sposób szalenie trudny do sprecyzowania — nie wiem czy dzieje się to za sprawą akcentowania słów czy frazy — styl powiślański, sposób mówienia kobiet z tego środowiska, a przecież bez użycia gwary.

P.: Polega to na różnych małych chwytach technicznych, a samą melodię Powiśla mam we krwi i w uchu. To bardzo zabawne, ale urodziłam się właśnie na Dobrej, o czym oczywiście zespół aktorski Matysiaków nic nie wiedział. Wprawdzie miałam zaledwie dwa lata, kiedyśmy się stamtąd wyprowadzili, ale potem pracowałam dziesięć lat jako aktorka i reżyserka w Teatrze Ateneum i mieszkałam przy ulicy Czerwonego Krzyża, nasłuchałam się więc staropowiślańskiego języka i znam te kobiety, te Matysiakowe z Dobrej.

N.: Proszę Pani, kreując przez tyle lat tę jedną postać, nie tylko musiała ją Pani zaakceptować, ale poczuć się jej współodtwórczynią, na równi z autorami tekstu, czy więc nie odczuwa Pani czasem jakichś oporów w stosunku do scenariusza?

P.: Nie, pewnie, że ta kobieta po chłopsku mądra, a czasem, żeby było weselej, naiwna, jest mi, jak już mówiłam, w jakiś sposób bliska, toteż szanując autorów, staram się zawsze uwypuklić jej aktywa.

N: A czy Pani zdaniem, taka rola to szansa dla aktora, czy na odwrót?

P.: Różnie to bywa. W tym wypadku, zdaję sobie z tego sprawę, Matysiakowa przysłoniła mój dotychczasowy, dość chyba sprawdzony dorobek aktorski.

N.: Żałuje więc Pani, że przyjęła tę rolę?

P. Oczywiście, że nie. Poza wszystkimi dobrodziejstwami takiego cyklu, mogę na wesoło powtórzyć za poetą, że moje słowo „trafiło pod strzechy".

N.: Zaczynając swoją karierę aktorską nie wyobrażała sobie Pani, że będzie występowała w teatrze o takim zasięgu i roli społecznej?

P.: Naturalnie, że nie. W ogóle wielu rzeczy sobie nie wyobrażałam. Bo to jest tak: najpierw marzy się o teatrze, potem wchodzi się w teatr z całym bagażem wyobraźni i buntów i przeżywa się różne konflikty i problemy w sztuce, później się je sprzedaje aktorsko, a wreszcie przeżywa we własnym życiu. Ja np., jak Pani wspominałam, bardzo wcześnie zaczęłam grać stare kobiety. Uczyłam się ich psychiki, sposobu myślenia, sposobu bycia. I oto dogoniłam wiekiem moje bohaterki. Gram własną rolę.